

Gdzie się taki wychował?!

Konkurent do psiej miski

W sieni w Rakowcu ciocia postawiła miskę z kaszą jęczmienną dla podwórzowego psa do ostudzenia. Wkrótce potem ktoś z rodziny podpatrzył, że dobrało się do niej inne stworzenie, dwunożne, pożywiając się z apetytem. Ponieważ ma przyrośnięty język, ale za to długi nos, tymże nosem pomagało sobie w przesuwaniu kaszy. Podniesiono alarm, pewno przez współczucie dla biednego pieska, którego porcja została uszczuplona. Wabił się Rak, a jego konkurent do miski – Adasiek...

Polowanie na harcerza

Przez lata moim hobby było czytanie książek indiańskich i zabawa w Indianina, do której konieczne były łuk i tomahawk czyli mała siekierka. Celowałem do dzikich kotów i ptaszków, jednak marzyło mi się polowanie na grubego zwierza! I oto pewnego razu nadarzyła się ku temu wyjątkowa okazja. A było to tak.

W mojej wsi istnieje w lesie urocza „harcerska górką”, teraz już nikomu niepotrzebna i zarośnięta, ogołocona z głównej ozdoby w postaci trzech starych strzelistych sosen. Od lat harcerze z Siedlec organizowali na niej letni obóz, przynosząc wodę z naszej studni. Pewnego razu, gdy ją nieśli przez las, z krzaków wyleciała strzała i zraniła dłoń jednego z nich, obciążoną wiadrem. Rzucili się w pogoń i szybko dopadli małego strzelca z łukiem w rękę, zrobionym z gałęzi wiśni. Trzymając go za kołnierz, zaprowadzili go na górkę i za karę urządzili publiczną „egzekucję”: uwiązali go na linie, przerzuconej przez gałąź sosny, i podciągnęli ze 2 metry nad ziemię. Łucznik w ryk – może nie tyle ze strachu, co z bólu, gdyż lina strasznie go uwierała. Niedługo tak wisiał, gdyż jego rodzeństwo zaalarmowało ojca, który przybiegł mu z odsieczą. Nie pamiętam, czy zrobiła na nim wrażenie rana na ręce harcerza ani czy pochwalił celność strzału swojego synka, ewentualnie czy go za wszystko pogłaskał (mocniej lub słabiej)...

Teraz, na końcu życia, moje myśliwskie przygody są zwykle śmiechu warte, gdyż jednym okiem widzę inaczej niż drugim. Wykorzystują to mole spożywcze w mojej kuchni, które drwią sobie ze mnie: fruwać mi zygzakami przed nosem, a ja nie mogę ich upolować. Być może młode mówią do starych (jak to ktoś napisał): ale ten facet musi nas podziwiać, cenić i lubić, skoro na sam nasz widok zawsze tak mocno klaszcze w ręce!

Pechowy egzamin.

Byłem strasznie pewny siebie, gdy rodzinnie udaliśmy się na miejski odkryty basen, żeby zdobyć kartę pływacką. Najpierw udany skok i sporo metrów pod wodą, potem stylem dowolnym przez cały basen, i już tylko na plecach. Gdy byłem na środku, ktoś chyba przepływał obok mnie i chlapanął mi w twarz, a przy tym były denerwujące krótkie fale, zalewające twarz – dość że zakrztusiłem się wodą i z tych pleców niewiele wyszło. Egzaminator przywołał mnie do brzegu i tak zakończyła się ta przygoda. Potem sporo pływałem w życiu kajakiem, ale nikt nigdy mnie nie pytał o kartę pływacką. W Niebie mam nadzieję sobie popływać – ileż tam wszędzie pięknej wody, i to podobno takiej, że ubrania wcale nie moczy. Myć się nigdy nie trzeba, więc nawet największe ziemskie brudasy znajdują tam prawdziwy raj!

I jeszcze jedna refleksja na kanwie powyższego doświadczenia. Zdolny i ambitny człowiek od dziecka nosi w sobie chęć wyróżnienia się, wybicia, zabłyśnięcia w ludzkiej społeczności. Najgorsze cechy wyłaziły ze mnie w okresie dojrzewania: chciałem bezwzględnie dominować nad trójką młodszego rodzeństwa, nie znosiłem oporu, często ich tarmosiłem, po czym słyszałem od mamy gorzkie „Ty podlecu!”. Jezus w swojej ewangelii wzywa nas do udziału w zawodach o puchar przeznaczony dla ostatnich i najmniejszych w oczach ludzkich i własnych. Bezwzględne i niepowtarzalne zwycięstwo w tych zawodach odnieśli On sam i Maryja. Bóg, który mnie zna, obdarował mnie dziesiątkami mankamentów i tak pracował nade mną, żebym w niczym nie mógł się wybić, gdyż chciał mnie mieć całego dla siebie. Już sam dobry skok do basenu przy egzaminie był dla mnie wielkim sukcesem, gdyż albo tak skakałem, że przeważały nogi, albo jak kot na cztery łapy (albo żaba, pewno ropucha), po czym miałem czerwony i piekący brzuch i klatkę piersiową. Znając swoje umiejętności, nie odważałem się nigdy na skok do basenu, lecz schodziłem do niego, jak małe dziecko, po drabince... Mogłem przynosić wstyd swojemu wysportowanemu ojcu, który skakał do rzeki z wysokiej turbiny młyna w Sekule i mógł pływać kilometrami, ale cóż... Ogromnie jestem wdzięczny Bogu właśnie za to, czym mnie obdarował!

Początkujący kajakarze.

Dwa własnej produkcji, pachnące świeżą farbą kajaki – ileż wiązało się z nimi marzeń – razem z jednym składakiem znalazły się wreszcie na Bugu. Nasza rodzina wyruszyła w pierwszą podróż, mając w planie na pierwszym etapie dopłynięcie do wsi, zamieszkaną przez krewniaków. Zapadł zmierzch, który zaczęły przecinać coraz bliższe bicze błyskawic. Zakola rzeki w ciemnościach nie pozwalały na zorientowanie się, w jakim kierunku

płynąć, a rzeka nagle zahuczała pod uderzeniami wichury. Fale sięgały ponad pokład, co zrobiło – może nie na rodzicach, ale na nas – niesamowite wrażenie! Z piskiem i krzykiem przybiliśmy do brzegu, chociaż ojciec protestował: płynmy, bo wieś na pewno tuż tuż. Zaczęło lać, więc jakoś cudem udało się nam wcisnąć do dwuosobowego namiotu i tak przesiedzieliśmy do rana, kiedy to (wyobraźcie sobie naszą minę!) okazało się, że do zabudowań już bardzo blisko (były widoczne). Jak dla nas, dzieci, była to niezapomniana przygoda! Nasz spływ zakończył się wtedy w Zegrzu, które dopiero czekało na swój zalew.

W szkołach

Ściągawki.

Szybko nauczyłem się czytać, jeszcze przed pójściem do szkoły, i potrafiłem obejmować wzrokiem dość długie teksty. Wykorzystywałem to wówczas, gdy nagle zostawałem wyrwany do odpowiedzi: mając przed sobą rozłożoną książkę, w ciągu sekund zapamiętywałem tekst, podnosiłem głowę i udawałem, że to z niej czerpię wiadomości, ku zadowoleniu nauczyciela.

Jako student KUL-u musiałem zdawać dużo egzaminów, najpierw jako kandydat na magistra, potem na doktora. Wykorzystując pamięć wzrokową, robiłem sobie ściągawki na dłoni (w moim wieku nikt tego nie podejrzewał), a potem na karcie papieru. Potrafiłem pisać takim maczkiem i swoim sokolim wzrokiem tak szybko go odczytywać, że mogłem być spokojny o wynik odpowiedzi. Potem pomógł mi w zdawaniu inny wynalazek: odkrycie sposobu takiego wpływania na profesora, że wpadał on w dobry nastrój i stawiał dobre stopnie. Nazwałem to „obejmowaniem ramionami serca” i opisałem dość szczegółowo, przekazując wielu ludziom w celu poprawy relacji z różnymi osobami, więc tu szczegóły pominę.

Duch Święty przy tablicy.

Trafiała kosa na kamień wtedy, gdy nie było jak ściągnąć. Tak bywało np. wtedy, gdy matematyk w liceum oczekiwał napisania na tablicy jakiegoś wzoru. Gdy stałem w bezruchu, słyszałem jego drwinę: „Na co czekasz? Że cię Duch Święty oświeci? Siadaj”. Na któryś okres postawił mi dwóję i sugerował, że są mi potrzebne korepetycje, oczywiście u niego. Dopiero wtedy, bez jego pomocy, nadrobiłem zaległości, ale do końca matematyka mnie „odrzucała”. Tak się złożyło, że tenże nauczyciel, mój wychowawca, najpierw oburzył się moim wyborem seminarium duchownego, a potem usłyszał ode mnie jako od księdza: „Pana wzmianki o Duchu Świętym sugerowały mi, że jest Pan ateistą!”, jednak temu zaprzeczył. Zdobyłem się wobec niego na zwierzenie, które przyjął w milczeniu, bo co miał odpowiedzieć? „Po co były lata uczniowskiej męczarni i nabijania sobie głowy tym wszystkim, skoro w życiu przydały mi się tylko takie podstawowe działania jak mnożenie, dzielenie, dodawanie i odejmowanie...?”

Fajtlapa na lekcjach WF-u.

Zawsze podziwiałem ludzi gibkich, a szczególnie zdumiewali mnie „ludzie-żaby”, którzy tak się wyginali, jakby nie mieli kości. Sam zawsze byłem sztywniakiem. Stawy skokowe miałem w takim stanie, że nawet jako dziecko chodziłem w kręgu przy śpiewie „Stary niedźwiedź mocno śpi” na paluszkach, ale z piętami nad samą podłogą, miałem też z tego powodu problem z jazdą na nartach. Nigdy nie wykonałem przerzutu przez ściankę na szkolnym boisku, co innym przychodziło z łatwością. Byłem największym fajtlapą przy przechodzeniu przez skrzynię, zawsze lądowałem okrakiem na niej, zamiast za nią (za jej końcem). Nauczyciel widział z boku moje błędy, ale nigdy mi nie pomógł w sposób bardzo prosty: nie pokazał, w którym miejscu (jak daleko) trzeba podeprzeć się rękami, żeby przeskoczyć się udał. W końcu sam do tego doszedłem, ale dopiero na końcu nauki w tej szkole... No i sztywność dłoni i przegubów – ta nie pozwalała mi ani na grę w siatkówkę, ani na grę na pianinie, ani na pisanie dziesięcioma palcami. Dziś za to wszystko dziękuję Ci Boże, Ty doskonale dopasowałeś do mnie swoje dary!

„Czyste sumienie” jako mój „pseudonim”.

W liceum jedna z nauczycielek, choć nie moja, dała się poznać jako wielka służbistka, czym budziła postrach wśród młodzieży. Pewnego razu zauważyła grupę uczniów, którzy w czasie lekcji pozostawali „na wybiegu”, i postanowiła ich dopaść. Rzucili się do ucieczki, a ja „owczym pędem” razem z nimi. Biegaliśmy z góry na dół i z powrotem raz jedną, to znowu drugą klatką schodową. Jej tusza nie pozwalała jej na bieganie, zasapała się, budząc tym we mnie litość. Postanowiłem dać się jej złapać i tym zakończyć jej mordęgę i zrobiłem to z wielkim spokojem, nie mając powodu do ucieczki przed nią. Z tryumfem złapała mnie za kołnierz i zaciągnęła do dyrektora szkoły z informacją: „Przyprowadzam ucznia, który uciekał przede mną, a na moje pytanie o nazwisko i klasę określił siebie jako „Czyste Sumienie”. Dyrektor pouczył mnie tylko, bo cóż innego mógł zrobić, że na przyszłość na pytanie nauczyciela o nazwisko należy je podać.